

MIROSŁAW KARWAT

Uniwersytet Warszawski

## Politologia – między akademickością, użytkowością i medialnością

Political Science – Between the Scientific Standards, Practical Use and Media Show

### ABSTRAKT

W funkcjonowaniu nauki o polityce w Polsce narasta mocne napięcie między wymogami naukowości, praktycznego nastawienia i zaprogramowania oraz regułami medialności w popularyzacji dorobku i analitycznych kompetencji politologów. Nasze środowisko nie umie sobie z tym poradzić. Politologia zachowuje naukowy charakter pod tym warunkiem, że jej funkcje poznawcze mają charakter autoteliczny, choć nie wyklucza to praktycznych zastosowań uzyskanej wiedzy. W praktyce dominują jednak wąsko utylitarne, wulgarnopragmatyczne wyobrażenia o pożytkach z nauki. Skutkiem ich narzucania przez polityków i urzędników jest redukcja poznawczych ambicji politologów, doraźny horyzont i banalizacja badań, powielanie ideologiczno-propagandowych pseudoaksjomatów, zanik krytycznej refleksji nad głębszą treścią gry politycznej. Prezentacja dorobku i kompetencji politologów w mediach przeważnie sprowadza się do bieżącego i jałowego komentarstwa. Paradoksalnie, wykorzystanie potencjału nauk politycznych zarówno przez rządzących, jak i przez dowolne inne siły z establishmentu politycznego jest odwrotnie proporcjonalne do potrzeb społecznych i do możliwej oferty politologów.

### SŁOWA KLUCZOWE

nauka o polityce, funkcje poznawcze, trywialny utylitaryzm, wulgarny pragmatyzm, medializacja

### ABSTRACT

As regards the functioning of the political science in Poland there is a strong tension growing between requirements of the scientific nature, the practical attitude and programming and convenience of media in the process of popularization of achievements and analytical competence of political scientists. The field's experts cannot cope with this properly. The political science is able to keep its scientific nature provided that its cognitive purposes

remain autotelic, although it does not rule out practical usage of the knowledge gained through the scientific process. In practice however narrowly utilitarian, vulgar-pragmatic ideas of benefits from the political science are dominating. The effect of this is the reduction in cognitive ambitions of political scientists as a result of imposing them by politicians and clerks, temporary horizons and banal level of research, repeating ideological-propaganda pseudoaxioms, the disappearance of critical reflection over the deeper content of the political game. Presentation of achievements and competence of political scientists in the media brings barren attempts at commenting current political affairs. Paradoxically, using the potential of the political science both through the class of the ruling, as well as by any other forces of the political Establishment is inversely proportional to social needs and to the available offer of political scientists.

#### KEY WORDS

political science, cognitive functions, trivial utilitarianism, vulgar pragmatism, medialisatation

#### CYTOWANIE

Karwat Mirosław (2016). Politologia – między akademickością, użytkowością i medialnością. „Studia Krytyczne” NR 3: 101-119.

## Wstęp

Istnieje mocne napięcie między wymogami naukowości, praktycznego nastawienia i zaprogramowania oraz regułami medialności w prezentowaniu politologii. I z tym napięciem od dłuższego już czasu nasze środowisko nie umie sobie poradzić. Temu poświęcam swoje refleksje krytyczne – bez roszczenia do miarodajności, autorytatywności, z zastrzeżeniem, że nie podejmuję się przedstawienia bilansu atutów i słabości polskiej politologii, stanu umysłów w naszym środowisku, samoświadomości politologów, wizerunku politologów w odbiorze potocznym<sup>1</sup>, lecz skupię się – z pewną dozą retorycznej przesady – na zjawiskach i tendencjach budzących niepokój.

## Założenia wyjściowe

Za punkt wyjścia przyjmę założenia chyba niezbyt kontrowersyjne.

1) Akademickość, naukowość politologii wyraża się w tym, że jej funkcje poznawcze mają charakter autoteliczny (są wartością samą w sobie, celem samoistnym), co nie wyklucza praktycznej użyteczności badań

<sup>1</sup> Próba odpowiedzi na przynajmniej niektóre z tych pytań – rzeczową i pouczającą w inwentaryzacji danych, choć uproszczoną w „obrachunkach historycznych” – jest znany i uznany raport: B. Krauz-Mozer, P. Borowiec, Paweł Ścigaj, Kim jesteś, politologu? Historia i stan dyscypliny w Polsce, tom I, Kraków 2011. tom II – Kraków 2012.

ani tytułów do sławy, materialnych i prestiżowych motywacji samych uczonych, którzy – bądźmy realistami – kierują się nie tylko etosem nauki, lecz również interesem własnym, osobistymi ambicjami i warunkami przetrwania, przystosowania. Ale prestiż czy sławę zdobywa się przede wszystkim w zamian za osiągnięcia naukowe i pod warunkiem zachowywania standardów poznania naukowego we własnej działalności – także tej dydaktycznej, popularyzatorskiej, ekspertryzowej, doradczej czy urzędniczej.

2) W pełni naukowy charakter mają tylko takie badania i publikacje, w których opis (zresztą, nietożsamy z narracją dziennikarską, kronikarską czy sumą danych statystycznych) nie jest jedyną funkcją, lecz występuje w harmonijnym związku z wyjaśnianiem (eksplanacją), ewentualnie również z prognostyką (nie wolno mylić prognozowania tendencji – i to w kategoriach warunkowych – z wróżbiarstwem i prorocstwami). Tym różni się twórczość naukowa od naukowej.

3) Warunkiem praktycznej użyteczności badań (i konkretnych dzieł, ustaleń) – np. gospodarczej, administracyjnej, pedagogicznej – jest ich wartość poznawcza. Jak stwierdził niegdyś fizyk Ludwig Boltzmann, a powtórzył psycholog Kurt Lewin, „nie ma nic bardziej praktycznego niż dobra teoria”. Sprawdzone w dziejach nauki droga od poznania do praktyki prowadzi od dyscyplin i badań podstawowych do stosowanych, a nie od razu „na głęboką wodę”, w trybie improwizacji, eksperymentów lub na zasadzie potocznych oczywistości. To nie znaczy, że niemożliwe są lub nie mają sensu zamówienia i zlecenia z myślą o konkretnych efektach praktycznych – o ile dotyczą nauk i badaczy o wysokim stopniu zaawansowania. Nie mają jednak sensu oczekiwania, by każdy temat i każdy wynik badań był wymiennie „praktyczny”, miał walory instrumentalne; to byłby już obłęd technokratyczno-biurokratyczny. Z drugiej strony, nie zawsze rozumiane jest, że z pozoru czysto abstrakcyjne i nieużytkowe dociekania filozofów, teoretyków, historyków myśli w rzeczywistości spełniają funkcje praktyczne – np. wychowawcze, edukacyjne (także w instrumentalnym rozumieniu kształcenia), wbrew pozorom także doradcze (np. „odradcze”, kiedy są przestrożą, analizą krytyczno-porównawczą ukazującą alternatywy dla czegoś itd., itp.).

4) Użyteczne jest nie tyle to, na co jest popyt, czego sobie życzą sponsorzy lub decydenci (kryterium typowo kramarskie, nacechowane tępotą), ile to, co odpowiada potrzebom społecznym, rozwiązuje określone problemy i zadania. Karykaturą użyteczności są badania i pseudobadania wykonywane po prostu „zgodnie z zamówieniem”, w tym rozmaite „kwity i gnioty” (pod szyldem ekspertyz, diagnoz, sondaży, projektów) odpowiadające oczekiwaniom i upodobaniom polityków, urzędników, menadżerów, biznesmenów, jednak jałowe, bezproduktywne (np. w służbie pozorowanych reform i pozornych innowacji) lub powodujące poważ-

ne szkody społeczne. Pracownik nauki sprowadzony do roli najemnego usługodawcy lub uczestnika permanentnych przetargów, w których walczy o byt, nie spełnia elementarnego wymogu ciągłości badań i kumulacji wiedzy. Taki „prochu nie wymyśli”, lecz zamiast tego uczy się, jak tu najlepiej odgadnąć życzenia, jak się zmieścić w aktualnej tendencji, modzie czy koniunkturze, jak korzystnie się sprzedać; bez oglądania się na takie głupstwa jak prawda, miarodajność swej wiedzy, granice swej kompetencji<sup>2</sup>.

5) Co jest warunkiem tego, by „użyteczność” nie stała się pozorem, własnym zaprzeczeniem? Bulwersują nas wszak pieniądze wyrzucone w błoto, grafomańskie publikacje kokietujące swoją rzekomą praktycznością. Co zrobić, by użyteczność nie okazała się użytecznością – i dyspozycyjnością – czysto partykularną (w służbie władców, oligarchii, establishmentu, grup interesów)? Ta zaś zaprzecza społecznej służebności nauki. Otóż warunkiem tego jest czynne i konsekwentne praktykowanie moralnego imperatywu etyki zawodowej uczonych, mianowicie „umysłowego nieposłuszeństwa” (znana i popularna formuła Stanisława Ossowskiego), czyli nonkonformistycznej i niekoniunkturalnej dociekliwości, krytycyzmu (por. Goćkowski 1996). W przypadku nauk humanistycznych i społecznych – skoro w nich ma miejsce nieuchronna interferencja podmiotu i przedmiotu badania, społeczne uwikłanie i ideologiczne zaangażowanie badaczy – warunkiem dodatkowym, a koniecznym, jest zachowanie równowagi między wymogiem obiektywizmu a odruchami oceny i perswazji, zaś skala wyboru postaw badaczy oscyluje między wzorcami poznawczego sceptycyzmu a pokusą apologetyki (zob. na ten temat: Cetwiński 1991).

6) Częściej pozornym niż rzeczywistym przejawem użyteczności nauk (w ogóle, w tym nauk politycznych) i pożyteczności naukowców (m.in. politologów) jest tzw. medialność, intensywna ich obecność w programach informacyjno-publicystycznych, zwłaszcza w tych z pogranicza „inforozrywki”<sup>3</sup>.

### Użytkowa redukcja funkcji poznawczych nauki o polityce

W ideologicznej atmosferze życia społecznego, która przekłada się na potoczne stereotypy oczywistości, racjonalności, praktyczności, w me-

2 Zaskakująco aktualny okazuje się więc pamflet Ludwika Krzywickiego odnoszący się do realiów jeszcze dziewiętnastowiecznych: L. Krzywicki, *Kapitalizm w sztuce i w nauce*, w: L. Krzywicki, *Wybór pism*, Warszawa 1978. I nie przypadkiem w tymże tomie znajdziemy tuż obok esej-pamflet *Kapitalizm a dziennikarstwo*, piętnujący analogiczny, patologiczny mechanizm komercjalizacji kultury.

3 Tu kłania się klasyka (Postman 2002).

dialnym schemacie informacji o funkcjonowaniu i osiągnięciach nauki, wreszcie – w ministerialnych parametrycznych kryteriach oceny jednostek naukowych oraz kwalifikacji i dorobku poszczególnych uczonych, w formalnych warunkach awansu naukowego – dominują i niejako obowiązują wąsko utylitarne, wulgarno-pragmatyczne wyobrażenia o pożytkach z nauki.

Dotyczy to również politologii, może nawet w jeszcze większym stopniu niż innych dyscyplin humanistycznych i społecznych – a to ze względu na możliwość bezpośredniego zastosowania wiedzy politologicznej w technikach rządzenia, jak i technikach gry i walki politycznej.

Zatem politolog jako badacz jest użyteczny o tyle, o ile bada to, co trzeba (tzn. to, co my mu zasugerujemy swoimi oczekiwaniami i kryteriami promocji) i o ile z tych badań wynikają jakieś konkretne i doraźne porady, podpowiedzi i dyrektywy np. jak wygrać wybory, jak poprawić wizerunek, jak skutecznie zwalczać polityczną konkurencję, czym czarować wyborców, jak przechwycić cudzy elektorat itp.

Natomiast „nikomu nie jest potrzebny” taki politolog, który zastanawiałby się nad tym, czy istniejący porządek polityczny jest jedynie możliwy i nie ma dlań alternatywy, czy siły polityczne i ośrodki władzy są reprezentatywne społecznie, służebne, czy są efektywne w swoim działaniu<sup>4</sup>, co zrobić, by zaktywizować obywateli, by polityków kiepskich, lecz „obrosłych w piórka”, mogli zastąpić inni, lepsi. Takich pytań – co zrozumiałe – nie stawiają politologom nie tylko rządzący lub pretendenci do rządów (gdyż elity polityczne czują się samowystarczalne i nieodwoływalne), ale również media. Te wolą – zamiast tego – pytać politologów o przepowiednie politycznej pogody, o opinie, czy dany polityk dopiero zaczyna swoją epopeję, czy już się kończy, o komentarze i zgadywanki, czy dana afera zakończy się dymisją, sądem, czy też „przyschnie”.

Trudno więc w tym kontekście nie zauważyć istotnego paradoksu: wykorzystanie potencjału nauk politycznych zarówno przez rządzących, jak i przez dowolne inne siły z establishmentu politycznego jest odwrotnie proporcjonalne zarówno w stosunku do potrzeb społecznych, jak i do tego potencjału (a jest on spory, mimo wszelkich niewątpliwych słabości rodzimej politologii). Wygląda na to, że nasi politycy – a podobnie i gwiazdy medialne, idole politycznego dziennikarstwa – z powodzeniem uprawiają samoobsługę. Nie są ciekawi niezależnych i niekoniunkturalnych przemyśleń, nie są zainteresowani ani w docieklivości politologów, ani w ich misji edukacyjnej, ani w tym, by słyszalny był głos politologów jako środowiska naukowego, uważają zaś, że czynią nam zaszczyt, gdy

4 Są jednak tacy, którzy – raczej nieproszeni o to – podejmują problem jakości działania politycznego i rządzenia (Dror 2006; Rydlewski 2004).

tego czy owego spośród nas zatrudnią w kancelarii lub zaproszą do studia na pięć minut „gadki” (w tym 3 minuty do wycięcia).

Konsekwencja tej skrajnie utylitarno-pragmatycznej tendencji jest znana i gołym okiem widoczna. Na finansowanie (w systemie grantów, stypendiów, staży, dotacji wydawniczych itd.), na nagrody państwowe, a zarazem na zainteresowanie mediów oraz na zainteresowanie i uznanie społeczne mogą liczyć przede wszystkim badania „konkretne” (w stereotypowym rozumieniu tego słowa), przynoszące – jakoby, gdyż często jest to pozorem, sprawozdawczą fikcją – bezpośrednio widoczny rezultat (i to nie tylko poznawczy, ale również praktyczny). Dociekania filozoficzne, teoretyczne, refleksyjna twórczość poświęcona problemom społecznym, dylematom aksjologicznym i strategicznym, a tym bardziej zawierająca akcenty krytyki społecznej zaczyna być uznawana za zajęcie niszowe i hobbystyczne, a nie wiadomo komu potrzebne, za ciekawostkę z jakiegoś marginesu świata nauki, a nawet za rodzaj dziwactwa. Szkoda czasu na filozofię polityki, teorię polityki, historię myśli politycznej z odniesieniami do współczesności. Trzeba „nadażać za potrzebami praktyki”, czyli zajmować się po prostu i wyłącznie marketingiem, wykładnią ustaw, ordynacjami wyborczymi, względnie nawet fenomenami karier różnych skandalistów, obrazoburców, ekstremistów. A już metodolodzy to w ogóle jakaś współczesna mutacja scholastyków.

Pod presją takiej atmosfery i takich preferencji w formalnych procedurach selekcji wyraźnie uginają się badacze – i weterani nauki o polityce, i debiutanci. W tych warunkach dokonuje się podwójna redukcja i deformacja poznawczych funkcji nauki o polityce.

### Minimalizm poznawczy

Redukcja pierwsza: **poznawcze cele badań przestają być uznawane** (także przez samych badaczy, autorów publikacji, a tym bardziej przez sponsorów, wydawców i instytucje oceniające) za **autonomiczne i autoteliczne**. Zdają się mieć sens jedynie o tyle, o ile poznanie może być instrumentem realizacji określonych celów praktycznych – politycznych, gospodarczych, wojskowych, administracyjnych. Formalny wyraz znajduje to w schematach sylabusów, programów badawczych, wniosków o granty. W każdym razie badania pozbawione tych walorów „aplikacji, implementacji” (podobnie jak programy nauczania w szkołach wyższych) mają stanowić wyjątek, margines tolerowany tylko z konieczności i w minimalnym zakresie. One zdają się zgoła rodzajem marnotrawstwa i pasożytnictwa. Max Weber czy Carl Schmitt w dzisiejszych parametrycznych ocenach zostaliby zaliczeni do outsiderów i gabinetowych pięknoduchów.



Z tym związana jest redukcja druga: **zawężenie poznawczych ambicji** (jeśli słowo *ambicja* nie zabrzmia tu karykaturalnie) do **opisu lub co najwyżej do erudycyjnej reprodukcji schematów już od dawna znanych i uznanych**. Warto więc zachować dystans do „indeksów cytowań”.

Przy tym w trywialnie stereotypowych nawiązaniach do tradycji „pozytywistycznej” czy „scjentyistycznej” opis rzeczywistości społecznej jest „oczywiście” utożsamiany wyłącznie z empirycznymi technikami zdobywania i porządkowania danych, a więc z obserwacjami, sondażami, pomiarami, eksperymentami terenowymi lub laboratoryjnymi. Nie ma tu miejsca dla modeli i typologii uznawanych po prostu za aprioryczne, dla hermeneutyki, dla dialektyki brzemiennej w antynomie, paradoksy i dylematy interpretacyjne. A grzechem niektórych niedouczonej politologów jest wręcz... płaski potoczny fenomenalizm w stylu „koń jaki jest, każdy widzi” lub nieuświadomienie sobie – co jest nagminne u dziennikarzy – różnicy między tym, co jest i jakie jest a tym, co dostrzegamy i jak to postrzegamy, między faktem a wrażeniem, wyobrażeniem, interpretacją, oceną.

Wprawdzie naturalnym faktem jest to, że w dorobku czy raczej „urobku” naszej rodzimej politologii znikomy liczbowo udział mają publikacje o ambicjach heurystycznych (poszukiwania, innowacje i eksperymenty metodologiczno-teoretyczne, abstrakcyjno-modelowe ujęcia zjawisk i procesów), eksplanacyjnych (wyjaśnianie uwarunkowań, mechanizmów), zaś jeśli chodzi o „syntezy”, to przeważają opisowe monografie (systematyki zjawisk, historie problemów lub określonych rozwiązań ideologicznych, ustrojowych, organizacyjnych, biografie i sylwetki liderów), a znacznie liczniejsze są przyczynki. Taka proporcja jest typowa w naukach społecznych; podobnie jest w kręgu historyków, socjologów czy ekonomistów. Nie każdy może być i powinien być teoretykiem. Może nawet im mniej ich jest, tym lepiej, np. tym mniej będzie grafomanów. I nie w każdej pracy naukowej konieczna lub możliwa jest rozwinięta eksplanacja. W naukach humanistycznych i społecznych funkcjonuje w zasadzie zdrowy podział pracy: występują tu i „sprawozdawcy”, i „obsesyjni” pasjonaci – eksploratorzy określonych problemów, wątków, i systematyzatorzy” wiedzy, i „kodyfikatorzy” teorii, i poszukiwacze nowych przygód oraz nowych narzędzi poznania<sup>5</sup>. Każdy z nich jest potrzebny, byle był rzetelny w swym zadaniu. Ale problem z opisem polega na czym innym: kwestią kluczową jest tu różnica między opisem naukowym (opartym na kategoriach abstrakcyjnych, precyzji i rygorystycznym pojęciowym) a opisem potocznym (por. Hołówka 1986, Kurowicki 1978).

5 Nie znaczy to, że nie ma napięć lub dystansu między takim zaprogramowaniem badań (por. na ten temat: Goćkowski 2000).

## Trywialne formy opisu i interpretacji zjawisk

Pół biedy, jeśli w grę wchodzi poetyka wnikliwych i rzeczowych opracowań diagnostycznych, analitycznych, ekspertyz – z zastosowaniem teoretycznych narzędzi kategoryzacji zjawisk. Aczkolwiek w pełni akademicki charakter mają tylko takie praktycznie użyteczne diagnozy, raporty, ekspertyzy, opinie doradcze, projekty rozwiązań itp., które zawierają również namysł nad przyczynami, uwarunkowaniami określonego stanu rzeczy, różnymi wariantami rozwoju sytuacji i rozwiązań, warunkowym statusem dyrektyw socjotechnicznych<sup>6</sup>. A przy tym odznaczają się powściągliwością, dystansem do przedstawianego obrazu zjawisk i problemów, do własnych wyobrażeń, wyrażają świadomość tego, że określona metoda i określone założenia implikują określoną interpretację faktów, danych statystycznych. Te różnicę między bezrefleksyjnym, rutynowym i pozornie bezzakończonym („oczywistym”) opisem a dociekliwą, zdystansowaną analizą badacza obdarzonego poznawczą samoświadomością dobrze ukazują kontrowersje w sprawie prawomocności i miarodajności badań nad opinią publiczną (por. na ten temat: Dyoniziak 1997; Sułek 2001; Anuszewska 2010). Nie sztuka stwierdzić „po prostu, jak jest” (pozostawmy tę konwencję Maxowi Kolonko) lub „co ludzie myślą”; sztuką jest znać kontekst i granice miarodajności takich stwierdzeń, rozumieć wpływ swoich pytań na treść uzyskanych odpowiedzi.

Zbyt często deskrypcja to jedynie pospolite kronikarstwo, tzn. – jak w średniowiecznych kronikach czy żywotach świętych i władców – surowy rejestr wydarzeń politycznych lub zbiór życiorysów, tyle tylko, że aktualnych lub „jeszcze świeżych” w odróżnieniu od materiału historycznego.

Bywa, że taka politologiczna „kronika wydarzeń” niewiele różni się – głównie żargonem, „naukową” manierą terminologiczną, a nie optyką, dociekliwością, przenikliwością, zmysłem krytycznym – od biurowatycznych sprawozdań, dziennikarskich relacji czy propagandowo-rytualnego języka dokumentów politycznych. Co więcej, presja medialności i wąsko kratocentryczna<sup>7</sup>, czyli w praktyce dworska optyka zainteresowań politologów (zob. Karwat 2012: rozdz. 5, 6, 7) sprawia, że to „sprawozdanie z przebiegu wydarzeń” czy też schemat wzorowany na repor-

6 W tym kontekście zasługuje na przypomnienie jakościowa różnica między normami aksjologicznymi a instrumentalnymi dyrektywami socjotechnicznymi oraz między konstatacjami lub nakazami bezwarunkowymi a tymi opartymi na myśleniu hipotetycznym (zob. na ten temat: Opałek 1974; Grodziński 1986).

7 Mariusz Gulczyński trafnie rozróżnił *kratocentryczną* (skupioną na ośrodkach władzy i... odpowiadającą zapotrzebowaniu z ich strony) oraz *socjocentryczną* (przez pryzmat wielopodmiotowego splotu interesów, konfliktów i rozgrywek) orientację w interpretacji polityki (zob. Gulczyński 2010).



terskich relacjach i improwizacjach sprawozdawców sportowych nie jest nawet zapisem wydarzeń rzeczywiście istotnych, np. przełomowych, zwrotnych, będących wskaźnikiem tendencji i przemian społeczno-politycznych. Natomiast ogranicza się do kolejnych burz w szklance wody, do swoistej „kroniki towarzyskiej” mikroświatka polityków (coraz bardziej przemieszanego ze światkiem celebrytów), a więc jest sprawozdaniem z ekscesów kameralnej mikrosocjotechniki i jałowych społecznie spektakli życia publicznego.

Upływ czasu – roku, a nawet kilku miesięcy – raz po raz ukazuje, że z podobnych sensacji nic istotnego nie pozostało ani nic nie wynika w przyszłości, że to już tylko „niegdysiejsze śniegi”. Lecz w chwili, gdy trwają, absorbują uwagę nie tylko mediów i ich odbiorców, lecz również politologów. Wtedy zamiast rozpoznaniem i bilansem tendencji i wpływów społecznych, układem sił, charakterem interesów grupowych zaangażowanych w rozmaite konflikty i rozgrywki, społecznymi kosztami określonych rozwiązań, sukcesów lub błędów formacji i osobistości politycznych zajmują się oni osobistą karierą takich czy innych osób, historią ich wlotów i upadków, rozsadami personalnymi, socjometrią politycznego mikroświatka (rozkładem sympatii i animozji, ciągiem jednostkowych rywalizacji i osobistych porachunków, personalnymi „objawieniami”).

Zgrozę budzi przy tym niefrasobliwość politologów dostosowujących swój horyzont do ram popkultury, którzy nie widzą różnicy między faktem społecznym i historycznym a faktem medialnym (faktoidem), którym może być dowolne zdarzenie (*event*, incydent) lub tylko jego wizerunek, a także wrażenia, nastroje, domysły, spekulacje (Karwat 2012: rozdz. 3, 11, 12).

Presja „aktualności” i rynkowości oraz przyzwyczajenia utrwalone ciągłymi występami w mediach powodują, że nawet niektórzy politolodzy o wysokich kompetencjach naukowych zaczynają zdradzać trwałą preferencję dla komentatorstwa. Wtedy ich publikacje stanowią głos do wydarzeń bieżących, rozmaitych oświadczeń, uchwał lub publikacji medialnych. A nierzadko – to już skutek przeniesienia nawyków z wypowiedzi medialnych do artykułów i monografii – ich dzieła mniejsze i większe wypełnione są dygresjami na poziomie „kamerdynerskich” – jak to niegdyś określił Hegel – schematów interpretacyjnych (zob. Hegel 2003; Karwat 1996). Przypomnijmy, że podstawą dla takich rodzajów dzięjopisarstwa lub politologicznego akompaniamentu dla współczesnych popisów polityków i pseudopolityków jest osobliwa „wiedza pozaźródłowa”: podgląd, podsłuch, plotka, pogłoska, obiegowe opinie, obmowa. W takich komentarzach powierzchnia zjawisk, wrażenia i pozory przesłaniają, wypierają i zastępują ich istotę.

Inne liczne publikacje politologów – w tym te przedkładane wysokim radom i komisjom z myślą o stopniu naukowym – wprawdzie unikają tej

pułapki i nacechowane są widocznym dążeniem do rzeczowości, dokumentalnej skrupulatności, ale utrzymane są w poetyce... informatorów (wszystko, co powinienes wiedzieć o zasadach głosowania i obliczania wyników, o systemie politycznym czy partyjnym takiego lub innego państwa, o dziejach jakiejś partii i składzie osobowym jej kierownictwa). Autorzy, a nierzadko i recenzenci, nie zadają sobie pytania, czy trzeba być aż doktorem, doktorem habilitowanym, profesorem, aby zgromadzić i porządnie usystematyzować dane statystyczne, materiał prasowy lub zbiory przepisów, napisać dobre kompendium lub poradnik. I odwrotnie, czy taki wysiłek – nawet rzetelnie wykonany – to wystarczająca podstawa do włożenia togi. A przecież wiadomo, że niekwestionowanym i szanowanym specjalistą, ekspertem i szkoleniowcem może być – pozostając w swojej roli – urzędnik, nauczyciel, dziennikarz, funkcjonariusz policji, duchowny – dobrze wykształcony i doświadczony w swoim zawodzie, na swoim stanowisku, choć pozbawiony statusu akademickiego.

Nie dziwny się jednak tej tendencji, skoro rządowa polityka w sprawach szkolnictwa wyższego wyraźnie zmierza ku temu, by uczelnie stały się po prostu „kuźnią kadr”, szkołą wiedzy „przydatnej” i sprawdzalnych umiejętności. Jest popyt (w tym wypadku – „zamówienie polityczne” i nacisk administracyjny), to jest i podaź – w postaci wzmożonej oferty znawców tego czy tamtego, którzy w zamian za swoje fachowe usługi ekspertyzowe i doradcze i „w nagrodę za całokształt” oczekują akademickiego splendoru. Toteż mamy już istny szturm pretendentów do stopni i tytułów naukowych, którzy „wiedzą w swojej specjalizacji wszystko” i książki piszą z łatwością, choć w nich nie są w stanie określić ani pytania/zadania badawczego, ani obranej metody czy orientacji metodologicznej. I podczas egzaminów czy obron i kolokwiiów szczerze są zdziwieni pytaniami o książki, tym bardziej artykuły naukowe, o jakich nawet nie słyszeli. Ta chora tendencja szczególnie mocno dotyka nas politologów z prostego, powszechnie znanego powodu: na polityce, podobnie jak na medycynie i gospodarce, „znają się wszyscy”.

### **Marketing i medialność zamiast edukacji politycznej i doradztwa**

Dziedzina, w której najwyraźniej widać skutki zatarcia różnicy i granicy między poznaniem naukowym, kształceniem akademickim i wiedzą wprawdzie praktyczną, lecz z teoretyczną podbudową – a przyśpieszonym kursem, instruktażem praktycznych umiejętności i doraźnymi usługami na zamówienie jest marketing polityczny<sup>8</sup>. Zauważmy, że w tej

<sup>8</sup> Elementy krytycznej i samokrytycznej refleksji nad statusem i ograniczeniami marketingu zawierają publikacje: Kasińska-Metryka, Wiszniowski (red.) (2013); Kasińska-Metryka, Wiszniowski (red.) (2012).

dziedzinie to nie praktycy (nierzadko instrumentalnie sprawni, lecz raczej na zasadzie intuicji, improwizacji i opierający całą swą inwencję na potocznej psychologii oraz równie potocznej manipulacyjnej socjotechnice) podciągają się do poziomu „praktycznych teoretyków”, lecz odwrotnie: to raczej ci uniwersyteccy specjaliści zniżają się do poziomu tych „magików” i rutyniarzy, a jeśli nie, to są po prostu ignorowani. Dla mediów i dla samych polityków autorytetami i wyroczniami (tym bardziej – doradcami) w sprawach marketingu bynajmniej nie są specjaliści łączący akademickie przygotowanie (a więc i nawyki myślenia krytycznego, warunkowego i alternatywnego) z praktycznym doświadczeniem, lecz „naturaśczycy” – w rodzaju Piotra Tymochowicza. A niektórzy nasi utytułowani koledzy czynią wszystko, by udowodnić, że nie są od nich gorsi – udowodnić w ten osobliwy sposób, że próbują im dorównać i ich naśladować. W rezultacie potoczny wizerunek politologa bywa taki oto: to człowiek, który zna się na politycznym znaczeniu opalenizny, fryzury, stroju, manier i elokwencji.

Tym, którzy uznaliby to za zjawisko naturalne (bo to zrozumiała przewaga rutyniarzy marketingu, reklamy i PR nad specjalistami z katedr) zwróciłbym uwagę, że np. w dziedzinie nauk i usług prawnych nikt o zdrowych zmysłach nie stwierdziłby, że zwykły absolwent prawa lub nawet domorosły, samorodny talent, samouk jest mądrzejszy od profesora prawa. A przecież mało kto spośród tych profesorów jest „oderwany od praktyki”.

Wypaczenie i rozumienia, i sposobu realizacji praktycznych funkcji nauki o polityce w Polsce dobitnie wyraża się w fakcie, że – w odróżnieniu od krajów Europy Zachodniej oraz USA – politolodzy generalnie są lekceważeni w rolach potencjalnych doradców i ekspertów. Albo pomija się ich w procesach podejmowania decyzji, w merytorycznych konsultacjach, albo traktuje ich uczestnictwo fasadowo (rozliczne martwe rady programowe i zespoły doradcze, ekspertyzy zamówione i wykonane, lecz zignorowane, komitety honorowe nie mające żadnego wpływu na firmowane przedsięwzięcie). Nie powinny nas zwodzić ani indywidualne „awanse” lub „układy” niektórych kolegów zatrudnianych w różnych pałacach, ani tym bardziej wciąż modny popyt na politologów w roli specjalistów w zakresie marketingu, PR, reklamy politycznej czy nawet (wstydliwie nie nazwanej po imieniu) propagandy. A chyba nie rekompensuje tego dość liczna za kulisami polityki obecność innych politologów – tych „młodych teczkowych”. Tam, gdzie najbardziej potrzebny i pożyteczny byłby politolog – w kwestiach form artikulacji i reprezentacji interesów, mobilizacji społecznej, komunikacji politycznej, kryteriów efektywności decyzji i procesu rządzenia w ogóle, kryteriów kultury politycznej w grze politycznej i w dyskursie publicznym, w analizie treści konfliktów społecznych i formalnie

politycznych – tam nasza obecność i nasz głos są rozproszone i marginalne.

Natomiast „pożytek” z politologów w praktyce został utożsamiony z natrętnym eksponowaniem obecności politologów (lub osób nadużywających tego szyldu) w mediach.

### Pułapka medialności

W mediach politolodzy „politykują” w sposób niewiele różniący się od dawnych wzorców „kawiarnianej polityki”, czyli komentując rozmaite sensacje, snując przypuszczenia i domysły, dzieląc się swymi wrażeniami, ewentualnie formułując oceny różnych występów na scenie politycznej na podobnej zasadzie, jak ma to miejsce w telewizyjnych turniejach tańca, śpiewu czy dowcipu.

Ma to konsekwencje poważniejsze niż sprowadzenie politologii do roli jednego z medialnych ornamentów polityki. Funkcjonowanie nauk politycznych (i w dydaktyce, i w profilu badań, i w zakresie popularyzacji) zaczyna być coraz bardziej dostosowywane do wymogów medialności narzucanych w ogóle społeczeństwu w mechanizmie „poppolityki i politrozrywki” (por. Olczyk 2009). Komercjalizacja mediów, obowiązująca w nich reguła doraźności i spektakularności wyznacza też określone miejsce, czas i zadanie dla politologów pojawiających się w mediach (por. Bourdieu 2009).

Jeśli pominąć nieliczne, rzadsze okazje do pełnego („niewykastrowanego”), merytorycznie wartościowego i oryginalnego wypowiedzenia się w sprawach naprawdę ważnych i o trwalszym znaczeniu, to politolog w telewizji zwykle ma zmieścić się w takich oto ramach: (1) odpowiadaj na nasze pytania (choćby źle postawione lub głupie), a nie stawiaj pytań; (2) nie baw się w dylematy ani w „tak, ale”, lecz mów ludziom wiążąco, co mają myśleć; (3) bądź gotów do komentowania w dowolnej chwili dowolnego wydarzonka – nie dlatego, że akurat w tej sprawie właśnie Ty masz coś do powiedzenia, ale dlatego, że to właśnie się wydarzyło, a my mamy pod ręką Twój numer telefonu; (4) ustaw się przed regałem (wiadomo, doktor, profesor) i przemawiaj, byle ładnie, a my już z tego coś sobie wytniemy. Występy w studio niewiele odbiegają od tych „ustawek”.

W mediach nie usłyszysz prezentacji poważnych książek, debat naukowych (wbrew pozorom – często potencjalnie zrozumiałych dla dosyć szerokiej publiczności, a nie hermetycznych). Nie ma też w nich miejsca ani czasu dla rzeczywiście naukowych (choć niekoniecznie hermetycznych) analiz, interpretacji i prognoz zjawisk politycznych. Zamiast tego zachęca się (kusi) politologów do wygłaszania okrągłych zdań i banalnych okazjonalnych komentarzy pod kontrolą stopera. Oczywiście uskarżanie się na to przypomina zawracanie kijem Wisły – w warunkach

komercjalizacji i popkulturyzacji mediów, jak zresztą i polityki (zob. Cetwiński, Minkner 2005), inaczej być nie może. Nie zmienia to jednak faktu, że absurdem jest proporcja „20 minut na reklamy (powtarzane nachalnie co 15 minut), 5 minut na informację (nie zaliczylibym do niej ciekawostek, wieści ze świata celebrytów ani dyżurnych minifelietonów o ludzkich nieszczęściach), 1 minuta na profesorską mówkę”.

Politolodzy w mediach – zamiast przedstawiać grę interesów społecznych, stopień reprezentatywności społecznej sił politycznych, dylematy decyzyjne i strategiczne, alternatywy rozwojowe, społeczne koszty określonych rozwiązań itd. – ochoczo naśladują wspomniane już anachroniczne wzorce „kamerdynerskiej wizji historii”, w której wielkie problemy i przemiany społeczne postrzegane i przedstawiane są w formie „przez dziurkę od klucza” oraz w kategoriach potocznej psychologii motywacji i psychologii stosunków interpersonalnych. Skwapliwie komentują, a przez to i pompują jak balon, rozmaite pogłoski, domniemanie, plotki, „pyskówki”, personalne roszady, osobiste obsesje, animozje i układy liderów i celebrytów. Ba, pospołu z mediami i z „publiczką” pasjonują się nawet detalami ich ubioru, fryzury, uzębienia. W tej roli – za darmo zresztą, w roli „zaszczyconych frajerów”, a zapracowując na honoraria gospodarzy – naśladują, wspierają i uzupełniają w swych występach dziennikarzy będących specjalistami od kularów, „bieżączki” i krótkich podsumowań. Zajmują się faktami medialnymi (faktoidami) zamiast faktami społecznymi i naukowymi. Upodabiają się do zapowiadaczy pogody (politycznej). Czy to buduje ich prestiż jako uczonych?

Potrzeba zaistnienia (poniekąd zrozumiała wśród uczonych skazanych na frustrację z powodu znikomego zainteresowania ich właściwą pracą, osiągnięciami) oraz złudne poczucie sukcesu (często występujące: jestem znany; patrzcie, jak mnie cenią, skoro ciągle zapraszają) przesłania kolegom fakt, że medialny ranking obecności i rozpoznawalności ani nie jest tożsamy z pozycją w hierarchii naukowej, ani też nie jest przejawem szacunku i podziwu dla nich ze strony dziennikarzy. Każdy, kto zna zwyczaje i reguły świata mediów, wie też, że dziennikarze często szukają rozmówców na oślep lub według kryterium prostej wygody: kto przybiegnie na każde zawołanie.

Skomercjalizowane (w tym także tzw. publiczne) media z góry zakładają, że narracja problemowa (a nie plotkarsko-personalna i komentatorska – komentarze do *eventów*) jest nudna i „zbyt trudna”, a już na pewno nie dochodowa. Lecz ochoczo zgodzili się z tym... sami politolodzy. I licytują się w wyścigu, kto z nich będzie bardziej medialny.

W ten sposób legitymizujemy degradację nauki, a w przypadku telewizji publicznej (choć nie tylko) karykaturalną deformację misji edukacyjnej mediów. Czy nie może być inaczej? Przykład językoznawców (popularne programy profesorów Bralczyka, Miodka), a także historyków



świadczy o tym, że możliwa jest, i to w atrakcyjnej formie, popularyzacja wiedzy naukowej oraz edukacja obywateli. Jeśli można pobudzać i zaspokajać merytorycznie (a nie tabloidalnie) zainteresowanie historią, jeśli można w mediach kształtować kulturę języka, to nie widzę obiektywnych przeszkód (jedynie subiektywne związane z inercją nawyków i z układem sił w stosunkach między światem nauki, światem mediów i światem polityki), by zawodowe kompetencje i dydaktyczne doświadczenie politologów zostały wykorzystane w kształtowaniu wiedzy obywatelskiej i kultury politycznej widzów czy słuchaczy. Konsternacja towarzysząca nie tylko nieudolności Państwowej Komisji Wyborczej i Krajowego Biura Wyborczego, ale również ujawnionej skali proceduralnej i merytorycznej niekompetencji wyborców podczas wyborów samorządowych jesienią 2014 ukazuje naocznie, jak wiele jest do zrobienia. I konieczne, i możliwe jest zastąpienie medialnego kalejdoskopu wydarzeń i wrażeń rzeczową edukacją obywateli w zakresie mechanizmów życia politycznego i procedur podejmowania decyzji tak przez rządzących, jak i obywateli.

Zmiana w tej sprawie wymagałaby jednak, aby środowisko politologów na tyle się skonsolidowało i przekształciło w skutecznie działającą grupę interesu (działającą zresztą w interesie społecznym!), by przekonać dysponentów mediów i samych dziennikarzy, że szkoda naszego czasu i topniejącego prestiżu na występowanie w roli „medialnej papugi”, natomiast mamy do zaoferowania coś, co jest potrzebą powszechną.

Nie łudźmy się: wyobcowanym elitom politycznym wygodniej jest mieć do czynienia z targowiskiem próżności politologów niż z analityczną, ekspercką i edukacyjną, a poniekąd i kontrolną (według kryteriów merytorycznej kompetencji) funkcją tychże politologów w mediach. Media także wolą – pod naciskiem fetyszu tabloidalnej poczytności, oglądalności – występy naukowców w charakterze paprotek, a nie w charakterze mentorów. Lecz etos nauki nakazuje, byśmy kierowali się bardziej interesem społecznym (w tym wypadku – potrzebą upodmiotowienia obywateli, kształtowania nawyków i umiejętności myślenia politycznego umożliwiających im świadomy wybór i kontrolę władz)<sup>9</sup> niż indywidualistycznymi odruchami okazji, by „zaistnieć”<sup>10</sup>.

Na razie jednak wciąż działa przynęta i ułuda zarazem medialnej kariery.

„Medialne zauroczenie” politologów rzutuje też na ich samoświadomość zawodową, utratę dystansu do siebie i zanik pracy nad sobą. To,

<sup>9</sup> Są powody do powtórki z lektury i przemyślenia klasycznych refleksji na ten temat (Znanięcki 1984; Merton 1982, rozdz. IX, Rola intelektualisty w instytucjach państwowych).

<sup>10</sup> Jako odtrutkę poleciłbym kolegom uzależnionym medialnie analizę psychologa (Derber 2002).



co jest walorem dydaktycznym, a nagradzane jest uznaniem medialnym jako talent popularyzatorski (prostota języka, konkretność, a zarazem obrazowość lub metaforyczność wypowiedzi itd.), niektórzy zaczynają uznawać zarazem za standard naukowości. I nawet nie zauważają, że coraz częściej przenoszą schematy myślenia potocznego do swoich publikacji formalnie naukowych, gdzie naukowe są tylko przypisy i niektóre wyrażenia, lecz już nie sam przedmiot, sposób myślenia, tok rozumowania, tryb dowodzenia, uzasadniania lub wyjaśniania. Samo użycie naukowego terminu jeszcze nie oznacza i nie gwarantuje, że autor świadomie i kompetentnie posługuje się przypisanym doń pojęciem teoretycznym, że nie posługuje się frazesem lub obiegowym potocznym rozumieniem terminu. Politolodzy-nonszalanci nie odróżniają zdań jednostkowych od zdań ogólnych, tych zaś od zdań eliptycznych (pozbawionych kwantyfikatora); kronikarskiego opisu lub komentarza, jak u sprawozdawcy sportowego od wyjaśniania (w metodologicznym sensie eksplanacji); wróżbiarstwa i przepowiadania pogody od funkcji prognostycznych; własnych wyobrażeń i ocen od stanów obiektywnych – zupełnie podobnie jak niefrasobliwi czy roznamiętnieni dziennikarze.

Między „akademickością” a medialnością zachodzi sprzężenie zwrotne. Z jednej strony – to pozytywna strona medalu – występy medialne są sprawdzianem sprawności zawodowej politologa (socjologa, ekonomisty), jednak bardziej jako wykładowcy niż jako badacza i eksperta. Mogą też być bodźcem do doskonalenia własnego warsztatu i do przemyśleń, dociekliwości we własnych badaniach. Z drugiej strony, „medialna kariera” zwykle (choć nie zawsze, nie wszystkich) demoralizuje, demobilizuje w zadaniu rozwoju naukowego, zaraża skłonnością do uproszczeń, retorycznego efekciarstwa, zapoznawania różnicy między metaforą (a czymś innym jest metafora na zasadzie *licentia poetica* i czymś innym metafora w języku teorii) lub skrótem myślowym a precyzyjną i wyczerpującą charakterystyką zjawisk.

## Podsumowanie

1) Chyba niewiele przesadzę w uogólnieniu, że – statystycznie rzecz biorąc, z punktu widzenia proporcji – pod presją stereotypów i formalnych standardów „praktyczności” w środowisku politologów narasta niezdrowa tendencja do obniżenia poznawczych ambicji. Choć potencjalnie jesteśmy coraz lepiej wykształceni, coraz bliżej możemy obcować z najlepszymi intelektualnymi tradycjami rodzimej i światowej politologii, to jednak w tematyce rozpraw na stopień, publikacji książkowych i artykułów w licznych czasopismach widoczna jest dominacja „łatwizny”, preferencja wielu autorów (a może i wydawców, redakcji?) dla zagadnień szczegółowych, przyczynków, nawet dla banalnych powtórzeń wiedzy

już znanej oraz dla ulotnej problematyki bieżącej, często prezentowanej jedynie w konwencji kronikarskiej lub komentatorskiej, z deklaratywnymi ozdobnikami. Do rzadkości należą próby syntezy, docieklive analizy uwarunkowań i mechanizmów, refleksje nad problemami i pułapkami społecznymi, dylematami strategicznymi, antycypacja przyszłych lub dopiero zarysowujących się tendencji. A te publikacje, które mają podobne walory, zazwyczaj przechodzą bez echa.

2) Medializacja polityki (i szkody społeczne nią spowodowane) – to temat sam w sobie, na szczęście coraz częściej podejmowany w pracach politologów, z pozycji tyleż rzeczowej, zobiektywizowanej, co i krytycznej. Natomiast **medializacja politologii** jest wskaźnikiem swoistego spacyfikowania środowiska, jego degradacji i sprzyjającej temu atomizacji. Już wcześniej utrwalona tendencja „każdy sobie rzepkę skrobie” (stopniowy zanik dyskusji, debat, nie mówiąc już o uwładzie recenzji w czasopiśmie) zostaje pogłębiona właśnie przez powab medialności. Coraz częściej jest tak, że politolog – zwłaszcza młody, na dorobku – woli występy w mediach niż seminaria i dyskusje naukowe. Parametryczny system oceny wymuszający powszechny „pościg za punktami” pozornie aktywizuje, zachęca do częstego udziału w konferencjach naukowych. W praktyce jednak przeważa jako skutek uboczny widoczna już patologia, demoralizacja: niejeden uczony przyjeżdża na konferencję wyłącznie po to, by wygłosić referat, rozliczyć delegację, pobrać certyfikat i możliwie szybko wyjechać. Nie jest ciekaw wypowiedzi kolegów, a niektórzy nawet nie są ciekawi opinii słuchaczy o własnym dziele.

3) Rzuca się w oczy wymowny paradoks. Politolodzy jak mało kto – obok socjologów i teoretyków zarządzania – powołani są do zrozumienia, jak wielkie ma znaczenie czynnik zorganizowania, kooperacji, zespołowego działania i reprezentacji, jako przesłanki wpływu, podmiotowości grupowej. I oczywiście do nauczania tych wzorców. Wydawałoby się więc, że zdolni są zastosować tę wiedzę na własny użytek, dla własnych grupowych potrzeb. Tymczasem w medialnym zgiełku i w politycznym przetargu praktycznie nie istnieje albo w ogóle nie przebija się w życiu publicznym głos środowiska politologicznego jako całości, jako pewnej wspólnoty kierującej się etosem „umysłowego nieposłuszeństwa” i społecznej służebności, a nie biurokratycznej lub dworskiej układowości czy dyspozycyjności. Ten stan rzeczy ma miejsce mimo posiadania formalnej reprezentacji – w postaci Komitetu Nauk Politycznych PAN, Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych i kilku jeszcze wyspecjalizowanych towarzystw naukowych. Nie istnieje lub nie jest zauważalny taki głos nie tylko w zasadniczych kwestiach społecznych i debatach publicznych, ale nawet we własnych sprawach, tzn. w kwestiach reform nauki i szkolnictwa wyższego, statusu pracowników nauki, wizerunku i prestiżu politologii, w kwestii wykorzystania praktycznych kwalifikacji politologów w edu-

kacji politycznej, ich wpływu na niezależne od politycznego sterowania mediami kształtowanie wzorów kultury politycznej, w mechanizmach doradztwa i ekspertyz.

4) Czyżbyśmy pogodzili się ze statusem maskotki w medialnym cyrku i ze stereotypem ludzi zbędnych, potencjalnie bezrobotnych (stereotypem, który „namaścił” swego czasu sam były premier) (por. Karwat 2013)?

5) Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest, jak sądzę, mechanizm **selektywnej materialnej lub moralnej korupcji środowiska**<sup>11</sup>, bliski regule dzieł i rządów. Dozowanie – w warunkach ogólnego deficytu środków – indywidualnych zaszczytów, prestiżowych stanowisk dla wybrańców, dla osób nadgorliwie dyspozycyjnych lub w każdym razie osobiście zapobiegliwych sprzyja atomizacji środowiska. W rezultacie zamiast dobrze pojętej integracji i solidarności grupowej (w kwestiach statusu grupowego i w kwestiach obrony etosu świata nauki) mamy raczej stan grupowego rozbrojenia i dewizę „każdy niech się urządzi, ustawi jak może – o ile może”.

6) Utożsamienie praktycznych (użytecznych) funkcji nauki z bezpośrednią i doraźną użytecznością badań, tej zaś z faktem, że na określone kierunki badań i określone (z góry założone?) ich wyniki (ustalenia, tezy) istnieje zamówienie (raczej tzw. polityczne niż tzw. społeczne) skutkuje dość powszechną pokusą utożsamienia aktualności z koniunkturalnością. A także banalnością wielu badań, których wynik z góry można przewidzieć i banalnością licznych publikacji powielaczowych. To zaś demoralizuje badaczy, głęboko wpaja im postawy konformizmu i kramarskie kryteria samooceny oraz oceny kolegów (kto lepiej się „sprzedaje”). Zaczyna to przypominać komercyjne popkulturowe kryteria oceny dzieł i całej twórczości – jak w ocenie kina rozrywkowego, gdzie kryterium wartości filmu to: jego budżet, liczba widzów i uzyskany dochód, czyli opłacalność przedsięwzięcia. Tyle tylko, że w takiej konkurencji politologia nie ma żadnych szans i startowanie w niej nie ma sensu.

7) Trywialnie utylitarystyczny kierunek reformy szkolnictwa wyższego (także na kierunkach politologicznych) skutkuje obniżeniem poziomu nauczania. Wbrew ministerialnym pobożnym życzeniom, pustym hasłom i wezwaniom do wzrostu jakości kształcenia oraz eskalacji kontroli i sprawozdawczości, „uzawodowienie” uczelni gwarantuje raczej... masową produkcję dyletantów i konformistów zarazem. Leitmotiv tych reform to **nauka zawodu i kurs, „jak znaleźć pracę” zamiast nauki my-**

<sup>11</sup> W odniesieniu do innych realiów problem ten poruszony jest w monografii Krimsky'ego (2006). Należy jednak pamiętać, iż także polityczni dysponenti pieniędzy państwowych mają możliwość – i korzystają z niej – uzależniania i wpływania na postawy i kariery uczonych formalnie (pozornie) czysto proceduralnymi lub merytorycznymi kryteriami selekcji.

ślenia”. Lecz skutkiem takiego „upraktycznienia” szkolnictwa wyższego bynajmniej nie jest większa „praktyczność” studiów politologicznych i łatwiejszy start zawodowy politologów, lecz wręcz przeciwnie. Zresztą, fakty mówią za siebie: z wyzwaniem w miejscach pracy wymagających inwencji, kreatywności, adaptacji, szybkiego uczenia się lepiej sobie radzą absolwenci tak „niepraktycznych” studiów jak filozofia oraz ci politolodzy, którym nieobce jest myślenie abstrakcyjne, niż klony „wzorcowego absolwenta”.

8) Widoczna jest bezradność lub kapitulacja autorytetów naukowych przed **makdonaldyzacją**<sup>12</sup> (tak jest!) **procesu kształcenia w szkołach wyższych**, jak i **makdonaldyzacją badań oraz wydawnictw** (to efekt m.in. punktowego taśmociągu). A w konsekwencji także przed postępującą inflacją dyplomów – nie tylko licencjackich, magisterskich, ale również doktorskich i profesorskich. Spójrzmy prawdzie w oczy: dzisiejszy dyplom znacznie mniej znaczy, waży niż te uzyskiwane wcześniej. Im większa ilość, tym gorsza jakość (w dodatku – reprodukowana: coraz gorsi nauczyciele coraz gorzej uczą coraz gorszych uczniów).

Politolodzy, czas się obudzić!

## Bibliografia

- Anuszewska I. (2010) *Sondaże – zwierciadło społeczeństwa. Rytuały komunikacyjne a kreowanie wiedzy wspólnej*. Warszawa: CeDeWu.
- Bourdieu P. (2009). *O telewizji. Panowanie dziennikarstwa*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Cetwiński O. (1991). *Apologetyczne a sceptyczne ujęcie polityki*. [w:] Szyszkowska M. (red.), *Interpretacje polityki*. Warszawa: PWN.
- Cetwiński O., Minkner K. (2005). *Popkulturyzacja polityki*, „Dyskurs. Czasopismo Politologiczne”, 1, 5-21.
- Derber Ch. (2002). *Zaistnieć w społeczeństwie. O potrzebie zwracania na siebie uwagi*. Gdańsk: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.
- Dror Y. (2006), *Zdolność do rządzenia. Raport dla Klubu Rzymskiego*. Białystok: Wyższa Szkoła Administracji Publicznej im. St. Staszica.
- Dyoniziak R. (1997). *Sondaże a manipulowanie społeczeństwem*. Kraków: Universitas.
- Goćkowski J. (1996). *Ethos nauki i role uczonych*. Kraków: Secesja.
- Gulczyński M. (2010). *Politologia. Podręcznik akademicki*. Warszawa: DrukTur.
- Grodziński E. (1986). *Myślenie hipotetyczne: studium z pogranicza ontologii, filozofii języka i psychologii*. Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich.
- Hegel G.W.F. (2003), *Wykłady z filozofii dziejów*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Hołówka T. (1986). *Myślenie potoczne. Heterogeniczność zdrowego rozsądku*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.

<sup>12</sup> Zadajmy sobie trud ponownego przeczytania i przemyślenia traktatu Ritzera (2003) bez usypiającego założenia, iż rzecz dotyczy jedynie barów szybkiej obsługi i fabryk w taśmowym systemie Taylora.

- Karwat M. (1996). *Stereotypowa personifikacja polityki*. „*Studia Polityczne*”, 5, 85-97.
- Karwat M. (2012). *O karykaturze polityki*. Warszawa: Muza.
- Karwat M. (2013), *Politolog – premierowi*, „*Dziennik Trybuna*”, 9 września, 10-11.
- Kasińska-Metryka A., Wiszniowski (red.) R. (2012). *Marketing polityczny. Doświadczenia polskie*. Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek.
- Kasińska-Metryka A. Wiszniowski R. (red.) (2013). *Kryzys marketingu politycznego*. Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek.
- Kurowicki J. (1978). *Wyprawa w krainę oczywistości*. Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich.
- Krauz-Mozer B., Borowiec P., Ścigaj P. (2011), *Kim jesteś politologu? Historia i stan dyscypliny w Polsce*, t.1. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Krauz-Mozer B., Borowiec P., Ścigaj P. (2012), *Kim jesteś politologu? Historia i stan dyscypliny w Polsce*, t. 2. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Krzywicki L. (1978). *Wybór pism*, Warszawa: PWN.
- Krimsky S. (2006), *Nauka skorumpowana? O niejasnych związkach nauki i biznesu*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Merton R.K. (1982). *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*. Warszawa PWN.
- Opalek K. (1974). *Z teorii dyrektyw i norm*. Warszawa: PWN.
- Olczyk T. (2009). *Politrozrywka i popperswazja: reklama telewizyjna w polskich kampaniach wyborczych*. Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne.
- Postman N. (2002). *Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-biznesu*. Warszawa: Muza.
- Ritzer G. (2003). *Makdonaldyzacja społeczeństwa: wydanie na nowy wiek*. Warszawa: Muza.
- Rydlewski G. (2004). *O skutecznym działaniu w polityce. Dziesięć przykazań nie tylko dla ludzi polityki*. Warszawa: Dom Wydawniczy Elipsa.
- Sulek A. (2001). *Sondaż polski. Przygarść rozpraw o badaniach ankietowych*. Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN.
- Znaniecki F. (1984). *Spółeczne role uczonych*. Warszawa: PWN.